

"Inny"? Problemy z wychowaniem dziecka zdolnego

Ewa Zienkiewicz

Tolerancja (łac. *tolerantia* - cierpliwa wytrwałość ; od *toleare* - wytrzymywa, znosi) - wyrozumiałość, liberalizm w stosunku do cudzych wyrzeczeń, praktyk, poglądów, postępków, postaw, choć by różniły się od własnych albo były z nimi sprzeczne (W. Kopaliński, "Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych", WP, Warszawa 1989, wyd. XVIII).

Tolerancja - uznawanie czyich poglądów, wierzeń, upodobań, czyjego postępowania, różniących się od własnych; wyrozumiałość. ("Słownik języka polskiego" pod red. M. Szymczaka, PWN, Warszawa 1989, t. III).

Chwila rozwoju

Dziecko przychodzi na świat jest już ukształtowanym całościowo organizmem, chociaż nie wszystkie jego funkcje działają od pierwszych chwil życia, gdyż wymagają one dłuższego czasu, dojrzewania. Według D. Lewisa dziecko rodzi się wszechstronnie uzdolnione, z pełnym potencjałem rozwoju we wszystkich kierunkach, potencjalnie wybitną inteligencją i zadatkami na rozwijanie wielkiej twórczości oraz dużym talentem społecznym - trzeba mu tylko stworzyć warunki do ich maksymalnego rozwoju.

Natomiast utrzymuje się, że inteligencja oraz zdolności rozwoju umysłowego, które dziecko przejawia w momencie urodzenia, są w głównej mierze zdeterminowane przez dziedziczenie (zależą od genów danej jednostki). Natomiast ich przeciwnicy - empirycy są zdania, że wszystkie dzieci rodzą się równe, a o ich dalszych losach decyduje rodzina i warunki społeczne, w których one żyją. Dzięki wielu badaniom i postępowi w nauce obie antagonistyczne strony zbliżyły się do siebie i zgodziły, że zarówno czynniki genetyczne, jak i środowisko wywierają istotny wpływ na rozwój dziecka. Wzrosło też zainteresowanie wpływami innych genetycznie zdeterminowanych cech, takich jak temperament, układ systemu nerwowego na bodźce oraz poziom aktywności i pasywności.

Tolerancja jest jedną z postaw altruistycznych, zwykle nie występuje ona w kodeksach moralnych, próżno jej szukać wśród celów wychowania moralnego; jednak jej rola w życiu społecznym wciąż wzrasta. Jest to wynikiem coraz większego zacieśniania się współżycia ludzi odmiennych pod różnymi względami (miało na to wpływ zwiększenie wiadomości wśród ludzi, ich wiedzy), są bowiem sprawy, które powinny być wspólne dla wszystkich, ale są też i takie, w zakresie których występują różnice nie mające większego znaczenia dla tego współżycia. Ludzie odmienni w wielu dziedzinach mogą osiągnąć sukcesy, nie uniemożliwiających innym.

Dzieci na ogół posiadają dość wysoki poziom tolerancji, który wzrasta z wiekiem, wraz z rozwojem. Nietolerancja dzieci może występować w dwóch postaciach. Pierwsza (dotyczy dzieci młodszych) spowodowana jest moralnym rygoryzmem dzieci - potępiane jest wszystko, co choćby w najmniejszym stopniu odbiega od normy. Druga postać pojawia się znacznie później (okres dorastania) i swoje podłoże ma w racjonalizmie moralnym - dziecko kieruje się w swej ocenie nie wiernością wobec normy, lecz ujemnymi skutkami określonego postępowania; czasem może chodzić o zagrożenie dla niego.

Dziecko rodzi się amoralne, a postawy tolerancji i nietolerancji pojawiają się dopiero około 6.-7. roku życia. Początkowo powodowane są względami czysto egoistycznymi oraz różnymi stereotypami myślowymi przyswojonymi od dorosłych, później wykształca się motywacja konwencjonalna, z czasem przechodzi ona w altruistyczną i społeczną. Małe dziecko nie dostrzega potrzeb innych ludzi, nie rozumie, nie odczuwa ich stanów psychicznych, uczuć. Dopiero zdolność do empatii, rozwijająca się z wiekiem na drodze wielu doświadczeń i wiczeń, jest podstawą do rozwoju altruizmu, czyli bezinteresownej, pozbawionej egoizmu troski o dobro innych ludzi. Altruizm dziecka początkowo przybiera postać instrumentalnych zachowań, podporządkowania się autorytetom i normom, aby w jakikolwiek formie rozwoju dojść do moralności pełnego zrozumienia i reakcji na to, co czują inni.

Michał

Michał od początku był dzieckiem bardzo dobrze rozwiniętym. Gaworzył od drugiego miesiąca życia, pierwsze słowo (oczywiście "mama") wypowiedział wiadomie w dziewięć miesięcy, w dziesięć miesięcy powtarzał usłyszane wyrazy, za każdym razem nazywał przedmioty z bliskiego otoczenia. W wieku dwunastu miesięcy mówił pełnymi zdaniami. Natomiast jego rozwój fizyczny przebiegał trochę wolniej, wisko czynnośc wykonywał z opóźnieniem, np. stał bez pomocy w trzynastym miesiącu, pierwsze samodzielne kroki zaczął stawiać w czternastym, natomiast chodzenie rozpoczął dopiero w piętnastym miesiącu. Widocznie od urodzenia "postawił" na umysł, a nie na "muskulaturę".

Swoje pierwsze trzy lata życia spędził ze mną w domu (urlop wychowawczy) wbrew woli rodziny - dziadkowie siłą i podstępem wyrzucali mnie do pracy, chcąc zaopiekować się pierwszym wnukiem. Na szczęście byłam uparta i swoje dziecko postanowiłam wychować osobiście. Tak się zaczęły nasze dni w domu.

Michał był dzieckiem spokojnym, grzecznym, pozwalającym mi prowadzić dom dla całej naszej rodziny w sposób prawidłowy, ale pod jednym warunkiem - musiałam cały czas z nim rozmawiać, odpowiadać na setki niekończących się pytań, niekiedy bardzo poważnych. Mój umysł musiał być w ciągłym pogotowiu, na wszelki wypadek mogłam sobie pozwolić jedynie wtedy, gdy moja pociecha w niewinnym nie regenerowała siły przed następnymi pytaniami i problemami.

Któregoś dnia (nie miał jeszcze wtedy trzech lat) popełniłam nieostrożność i kupiłam dziecku klocki, zwykłe plastikowe sześciokątne, z literkami (tylko takie dostałam). Wtedy się zaczęło! Co chwila przychodził do mnie z klockami i pytał "Jaka to litera?", a ponieważ postanowiłam być szczerą wobec niego, odpowiadałam, cokolwiek zdziwiona, ale konsekwentna. Po pewnym czasie (może to był miesiąc, może dwa) ku mojemu zdumieniu zobaczyłam moje dziecko siedzące na dywanie z wielką zadowolonym miną, przyglądające się kilku domowym klockom, tworzącymi słowa:

M A M A

T A T A

L A L A

Moją reakcją było całkowite osłupienie, ale po chwili zaczęłam sobie tłumaczyć, że to był przypadek (wprawdzie potrójny?!...). Pod pretekstem zbudowania pociegiu poprzestawiałam więc z czymś przodem klocki, a moje dziecko z uporem maniaka odbudowało te same słowa. Wtedy już wiedziałam, że to nie przypadek. On po prostu nauczył się (posiadał fenomenalną pamięć) odczytywać drukowane pismo. Wtedy poszły w ruch gazety, książki. Mój syn stał się moim księżym. Jeszcze w wieku 4-5 lat moje próby "wypchnięcia" go na podwórko kończyły się płaczem: "Dlaczego? za co? ja chcę czytać książki!".

Wiele razy stawał mi w okropnej sytuacji, gdy po wejściu do sklepu stawał na środku (ja w kolejce), zadzierając łepety i czytał wszystkie wywieszki, jakie się tam znajdowały - i to w dodatku na głos. Nie zapomnę spojrzeń szokowanych współkolejkowiczów, którzy patrzyli na niego, na mnie i po sobie. A w ich spojrzeniach można było wyczytać różne rzeczy, najczęściej za chęć co takiego: "Co to za wyrodna matka, zmusza takie maleństwo do nauki! Ona chyba postradała zmysły!". Z czasem przestałam zwracać uwagę na takie przejawy zainteresowania bliźnich moją osobą. Przywykłam, stało się to dla mnie rzeczą normalną i oczywistą, że mój syn czyta płynnie, bez zająknięcia, nawet najdłuższe wyrazy.

Pamiętam te wiele miłych reakcji ludzi na "dziwactwo" mojego Michała. Kiedy jechaliśmy kolejką, a naprzeciwko nas siedział starszy pan czytający gazetę zło on w ten sposób, że czepki, która znalazła się przed oczami mojego dziecka, była odwrócona do góry nogami. Jednak taki drobiazg nie mógł przeszkodzić Michałowi w ciekawej lekturze i oczywiście na cały głos rozpoczął czytanie. W pierwszej chwili pan wyjrzał zza gazety, ale widząc niewinną buźkę takiego malca, powrócił do swego zajęcia, myśląc pewnie, że mu się zdawało. Kiedy jednak po chwili znów usłyszał gazetowe slogany, wyjrzał po raz drugi i z niedowierzaniem zapytał Michała: "Ile masz lat?" "Trzy". "To ty czytałeś?!" "Tak". "Ale tu literki są do góry nogami". Na to Michał z rozbrajającą szczerą cię, jakby stwierdził, że woda jest mokra: "Nie szkodzi. Do góry nogami też można czytać". Pan był niezmiernie zdziwiony, a ja oczywiście po raz kolejny musiałam tłumaczyć: co? jak? dlaczego? Wtedy pani siedząca w pobliżu wyjęła z torby liczną kolorową księżeczkę o misiu i podarowała ją Michałowi, mówiąc, że jej dziecko nie umie jeszcze czytać i obejdzie się bez księżeczki.

Jeszcze wiele razy spotykaliśmy się ze zdumieniem i niechęcią ludzi, chociaż były i gorsze chwile, kiedy to moje dziecko czytało niecenzuralne napisy na murach w czasie stanu wojennego i jakby tego było mało, domagało się ich wyjąknięcia. Takie sytuacje kończyły się najczęściej próbami odwrócenia jego uwagi, co się przeważnie nie udawało z powodu niesamowitego głodu wiedzy Michała. Wtedy pozostawało mi już tylko jak najszybciej przejść z synem gdzie indziej.

Następnym etapem życia mojego syna było przedszkole, w którym o miejsce było wtedy bardzo trudno, ale jako udało nam się je znaleźć. Pierwszego dnia Michał poszedł chętnie, ufnie, przygotowany wcześniej na to ważne wydarzenie. Kiedy przyszedłam po niego w południe, oczom moim ukazał się przerażający widok: pani nauczycielka z rozwianym włosami biegła go za ręką, biegnąc w tempie wyścigowego charta po bardzo wysokich, stromych schodach (które mnie zawsze napawały grozą) i krzychała na całe przedszkole: "Pani Z.....! Czy pani wie, że ma pani geniusza?!". Pewnie, że wiedziałam, ale przecie nie uważałam za swój wielki obowiązek informowania o tym fakcie wszystkich bez wyjątku i w dodatku w obecności mojego syna, który rósł dotychczas w przekonaniu, że ma na imię Michał, a nie Geniusz. Tego dnia skończyło się beztrudne dzieciństwo Michała - został mianowany asystentem nauczycielki, a polegało to na tym, że w sytuacji, gdy któraś z pań postanowiła opuścić salę lub była zbyt zmęczona, by prowadzić zajęcia, sadzała asystenta przy swoim biurku, wręczała mu książki i kazała czytać dzieciom siedzącym wokół na dywanie. Na początku taki awans społeczny bardzo Michałowi imponował, lecz z czasem zachwył mił, a zaczął się smutny obowiązek. Do tego dochodziło też notowanie przez niego nazwisk dzieci, które podczas nieobecności pani zachowywały się niezupełnie zgodnie z ogólnie przyjętymi normami (Michał umiał równie dobrze pisać). Tak właśnie mijały kolejne dni w przedszkolu.

Po pewnym czasie dziecko moje coraz mniej lubiło tę wspaniałą instytucję, a doszło w końcu do płaczu i buntu na sam dźwięk słowa "przedszkole". Przyczyniły się do tego pierwsze objawy nietolerancji ze strony grupy dziecięcej. Wiadomo, że dziecko faworyzowane przez panią tylko początkowo jest podziwiane przez rówieśników, póki nie przestaje być lubiane (może wchodzi tu w grę zazdrość?). A jeżeli dodamy do tego słabszy rozwój fizyczny "beniaminka", co przejawia się między innymi w nieumiejętności bicia się z kolegami, wykonywania pewnych zadań (np. kopanie piłki, wchodzenie na płyty lub zbieganie bez trzymania się poręczami ze wspomnianych już przeze mnie schodów) otrzymujemy żywy obraz "grupowej ofiary".

Ja również, choć całkiem nie wiadomie, przyczyniłam się do tego "osiągnięcia", ponieważ Michał w domu wychowywany był w duchu poszanowania dla innych, wyrozumiałości, uczciwości itd. Wpajałam mu szczytne skądinąd zasady, że nie należy innym dzieciom dokuczać, bić ich, zabierać zabawek itd. Doszło wreszcie do tego, że wytworzył się w jego umyśle obraz pięknego, sprawiedliwego świata, wspaniałych ludzi (w tym również dzieci) miłych dla siebie; bo jeżeli on postępuje w pewien określony sposób, to oni na pewno robią tak samo; bo jeżeli jego mama mówi, że trzeba być grzecznym, to wszystkie mamy na całym świecie mówią swym dzieciom to samo; jeżeli on stosuje się do wskazówek mamy, to inne dzieci również. I dopiero w zderzeniu z rzeczywistością, która okazała się diametralnie różna od tej, jakiej się spodziewał, Michał przeżył szok, rozczarowanie, zdziwienie. Przeszedł po prostu rozumieć świat i musiało minąć wiele czasu, zanim nauczył się tego od nowa, z jego wszystkimi wadami, niekonsekwencjami, niesprawiedliwościami. Nauczył się tego na własnej skórze, nieraz boleśnie, gdy dzieci go biły, odpychały, sypały piaskiem, przezywały, a on nie potrafił się bronić; nikogo nie zaczepiał, ale też uderzony nie umiał odpłacić tym samym. Nie nauczyłam go tego i przez cały okres przedszkolny, póki nie przestę, miałam czyste w głowie, czy dobrze zrobiłam, wychowując go właśnie w taki sposób. Dzisiaj z perspektywy wielu lat wiem, że zrobiłam dobrze, ale wtedy...

Po półtorarocznym pobycie w grupie "maluchów" Michał przeszedł do zerówki. Był to więc kolejny awans, jednak traktowanie go przez dzieci nie uległo zmianie. Nadal nie czuł się dobrze w grupie, był bezsilny nawet wobec młodszych dzieci. W tym czasie przedszkole skierowało go na badania do Poradni Wychowawczo-Zawodowej, aby się dowiedzieć, co dalej robić z tym "fantem" (padła propozycja wcześniej nieszego rozpoczęcia nauki w szkole). Pojechaliśmy tam. Pani psycholog była bardzo sympatyczna, po przebadaniu Michała orzekła, że poradził sobie świetnie z testami a do IV klasy, więc jeżeli chodzi o rozwój umysłowy, to może wystawi stosowne za wiadczenie bez najmniejszych obaw. Natomiast strona emocjonalna...

Nie było to dla mnie żadnym zaskoczeniem, znałam swoje dziecko. W każdym razie skończyło się na tym, że po ukończeniu zerówki w wieku 6 lat zafundowałam mojemu dziecku "urlop dziecka" od nauk wszelakich, co było możliwe po zmianie mojego miejsca zatrudnienia. Musiałam zrezygnować z pracy operatora maszyn kieszonkowych, którą bardzo lubiłam, na rzecz stanowiska sprzątaczkę. Może to nie był mój awans społeczny, ale zajęcie to pochłaniało zdecydowanie mniej czasu - około godziny 10 byłam już w domu i mogłam resztę doby poświęcić synowi. Przez ten rok zregenerowali my siły nadwątlone w przedszkolu i w przyszłości z ogromną wiarą i nadzieją na lepsze czasy zaprowadziłam moją latorośl, od wstąpienia przyodzianą, do I klasy.

Wspomniana nadzieja dotyczyła oczywiście traktowania Michała przez rówieśników. Wyobrażałam sobie, że teraz wszystkie dzieci będą go lubić i szanować za wiedzę, pilność, które i skończył parę innych pozytywnych cech, oraz że nikt nie będzie już zwracał uwagi na jego mniejszą sprawność fizyczną, bo

przecie gdzie jak gdzie, ale w szkole liczy się na pewno wiedza, a nie siła. Owi ta naiwno ci, nic bardziej mylnego! Teraz dopiero zaczęła się na dobre. Przekonałam się, jak bardzo rozwinęli się przez ten czas jego rówieńcy. Dysponowali obecnie bardziej wyrafinowanymi metodami niż bienia tego "odmieńca", który tak się od nich różnił, a nie pasował.

W miarę upływu lat dystans między Michałem a klasą powiększał się. Michał posiadał wiedzę, którą jego koledzy, reprezentował zupełnie inny sposób myślenia, liczyli się dla niego inne wartości. Od VI klasy brał udział w konkursach matematycznych (ale także w polonistycznym, fizycznym, chemicznym, geograficznym), dotarł do finału olimpiady matematycznej, wreszcie został stypendystą Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci. Z roku na rok rozwijał się, był dumni wiedzy, uważał, że wie za mało, a interesowało go tak wiele. Z roku na rok równie "rodki nacisku" klasy stawały się coraz dotkliwsze, brutalniejsze. Od przezywania, poszturchiwania, odpychania, poprzez fizyczne znęcanie się, bicie, wrzucenie tego "m drali" do osiedlowego mietnika, przegonienie go wokół bloku przez całą grupę dziewczyn i dotkliwe pobicie gałkami (tak, tak - słaba ple!), a do rozbicia głowy kamieniem.

W miarę dorastania przejawy nietolerancji ze strony grupy rówieńczej zmieniły się: jak powszechnie wiadomo, w życiu każdego małolata, i tego "m drali" i "normalnego", nadchodzi okres tzw. prywatek organizowanych z okazji imienin, urodzin lub deszczu czy słońca (każda okazja jest dobra). Wiele razy Michał nie dostał zaszczytu zaproszenia go przez kolegów czy koleżanki z klasy, mimo że on sam tradycyjnie co roku "wyprawiał" urodziny. Były też inne incydenty, takie bardziej codzienne, przyziemne; o wielu z nich teraz już się nie pamięta, ale one były i odciskały swoje piętno.

Dziecko nietolerowane przez grupę - niezależnie od wieku - przeżywa bardzo silnie takie odsunięcie, ponieważ każdy człowiek ma potrzebę współzycia z ludźmi, ale także uznania, emocjonalnego zaakceptowania go przez nich. Przy braku zaspokojenia potrzeby afiliacji dziecko czuje się samotne, niepotrzebne, bardzo nieszczerliwe i nawet najlepsza rodzina na pewnym etapie nie jest w stanie tego zrekompensować. Po prostu nie może zaspokoić tej własnej potrzeby. Nietolerancja dziecka "innego" może prowadzić do trwałych zmian w osobowości (różnego rodzaju kompleksy), do zaburzeń nerwowych (apatia, lęk, agresja - jako reakcja na frustrację), niekiedy również dochodzi u takich dzieci do niepowodzeń szkolnych (kłopoty z nauką).

Na szczęście w przypadku mojego dziecka nie doszło do tak drastycznych skutków. Po skończeniu podstawówki, z tytułem Przewodzącego Absolwenta, Michał odechnął z ulgą i wystartował pełen energii do dalszej nauki w liceum. Najgorsze ma już chyba za sobą. Obecnie jest uczniem matematycznej klasy autorskiej o bardzo wysokim poziomie, w której nie jest już wyjątkiem i dziwakiem, ponieważ takich jak on jest kilku. Skończył się więc przejawy nietolerowania go z powodu odmienności umysłowej, teraz Michał opowiada, że koledzy docinają mu nieraz z tego powodu, i jako jedyny w klasie "nie ulega procentów"; ale to już nie jest problem. Jedynymi poważniejszymi problemami, jakie napotyka w szkole, są konflikty z wychowawcą (matematykiem). Tu jednak ma miejsce cierpienie dwóch wybitnych i bardzo silnych osobowości, gdy obydwoje ogromnymi indywidualistami - ale w tej chwili Michał jest już na tyle dojrzały, że jest w stanie zrozumieć przyczyny tej "walki" i poradzi sobie z nimi. Wie, co w jego życiu jest najważniejsze, do czego dąży, jakie wartości się liczą oraz wie, że żyje wśród ludzi. Ja też odechnęłam, ale... mam drugiego syna, który czyta płynnie i pisze od czwartego roku życia!

Czas refleksji

Dzieci wybitnie zdolne to podobno bogactwo, skarb społeczeństwa, ale na pewno nie wszyscy wiedzą, ilu problemów i stresów dostarcza ich wychowanie. Dzieci te są dociekliwe, poszukujące, charakteryzują je przeważnie nie wietna pamięć, cięły "głód wiedzy" i specyficzny sposób myślenia, ale również roztargnienie; nie zaprzętają sobie głowy "przyziemnymi", zbyt nudnymi jak dla nich sprawami, gdy ich głowy przeznaczone są do dowiegania ważniejszych rzeczy. Z powodu odmienności ich miejsce jest przeważnie na uboczu grupy lub wręcz poza nią.

Każde dziecko jest inne, potrzebuje indywidualnego traktowania, ale wychowanie dzieci uzdolnionych wymaga naprawdę niezmiernie rozwagi i ostrożności. Są to dzieci przeważnie nadwrażliwe, trzeba im okazać maksymalną czułość i wyrozumiałość. One tak samo jak wszyscy, a może przede wszystkim one, potrzebują miłości, uznania, poczucia bezpieczeństwa, swobody, radości, przyjaźni, a przede wszystkim akceptacji i **tolerancji!**

Literatura, która pomogła mi być bliżej Michała i napisać ten artykuł:

1. Lewis D., "Jak wychowa zdolne dziecko". PZWL Warszawa 1988.
2. Strelau J., Jurkowski A., Putkiewicz Z., "Podstawy psychologii dla nauczycieli", PWN Warszawa 1975.
3. Korsak-Mikulska A., "Od kołyski do mundurka". Wyd. I sk, Katowice 1976.
4. Makowska J., "Dzieci trudne do kochania". Inst. Wyd. Zw. Zaw., Warszawa 1986.
5. Muszyński H., "Rozwój moralny". WSiP, Warszawa 1987.